Opłata pocztowa uiszczona gotówką
Cena egzempl. 30 gr

KUŹNICA

SPRAWY NARODOWE SPOŁECZNE I KULTURALNE
DWUTYGODNIK

NR. 17 (39) KATOWICE, 1-15 WRZESIEŃ 1937 R. ROK II

ALOJZY TARG.

Ukraiński szowinizm

Narodowy ruch ukraiński w Polsce przybrał nieprawdopodobne rozmiary szowinizmu. Wyrazem tego jest nietylko polityka gospodarcza, zmierzająca do całkowitego usamodzielnienia się Ukraińców, oraz do zniszczenia polskiego stanu posiadania na południowym wschodzie, ale również cała akcja kulturalna, oświatowa i wychowawcza. Jak głęboko zdołano przeszczepić szowinizm w masach ukraińskich, świadczą o tem najlepiej uchwały rozmaitych organizacyj kobiet ukraińskich, które tak obficie komentowała prasa w ostatnim czasie. Ale to są wszystko rzeczy znane, tak jak znane są fakty, że chłopi polscy zapisują się do ukr. organizacyj spółdzielczych, że posyłają dzieci do szkół ukraińskich. W ostatnich jednak czasach ofensywa ukr. szowinizmu, zachęcona skandalicznym i karygodnym niedołęstwem i biernością z naszej strony oraz zwyrodniałą tolerancyjnością, poszła jeszcze dalej (Ukraińcy całkiem zwyczajnie usuwają niebezpiecznych i niewygodnych im Polaków.)

Dam przykład: W ciągu wakacji znajdując się na terenie, zamieszkałym przez znaczny procent Ukraińców, specjalnie interesowałem się właśnie kwestiami ukraińskimi. Przy tej sposobności udało mi się spotkać kolegę z lat uniwersyteckich, który przez 7 lat pracował jako instruktor oświatowy w woj. lwowskim. Opowiadał mi rzeczy wstrząsające. Niestety nie o wszystkich mogę pisać. Podam przynajmniej jedną z nich. W maju r. b. otrzymał mój rozmówca list, zawierający wyrok śmierci, gdy do 1 lipca b. r. nie opuści powiatu, w którym pracował. Wyrok śmierci pochodził oczywiście od Ukraińców. Ponieważ w podobny sposób zginęło trzech moich współpracowników, ciągnie dalej „skazany", nie chcąc podzielić ich losu musiałem opuścić teren. Wyroki bowiem są bezwzględnie wykonalne. Wykonuje się je zaś znanym i nie zawodzącym systemem trójkowym. W ten sposób usuwa się wszystkich niewygodnych. A więc terror najwyższego stopnia i to wobec Polaków we własnym państwie. Terror nie znany nawet w latach niewoli, podają zgodnie Polacy z tamtych stron.

Jakież wnioski nasuwają te przykre zjawiska? Bardzo stanowcze. Przede wszystkim cały okres naszej niepodległości, a zwłaszcza ostatnich kilka lat zostało na odcinku polityki mniejszościowej bezpowrotne i w sposób karygodny zmarnowane. Jaki to bowiem element urzędniczy delegowano b. często w ciągu ostatnich kilku lat na odcinki kresowe. Zbyt często na sprawy narodowościowe obojętny, nieraz wręcz podejrzany pod względem narodowościowym (starostowie ożenieni z córkami popów, zamaskowani Ukraińcy kierownikami szkół o większości polskiej i t. p.), bez walorów intelektualnych i moralnych (łapownicy). Jednym słowem element, który nie mógł zmieścić się w innych częściach kraju. Czyż po takim materiale ludzkim można spodziewać się jakiegokolwiek pożytku? Oczywiście nie. Ale cóż dziwić się miejscowym organom naszej biurokracji, skoro centralne organy władzy akurat z taką samą „troską" traktowały problemy ziem wschodnich, oraz położenie i rozwój żywiołu polskiego na tych ziemiach. Jedyny wyjątek stanowi w tym względzie armia polska.

To jeden wniosek, wniosek dotyczący „sprawności i programowości" naszej polityki wobec ziem wschodnich. A teraz nasuwa się pytanie, czy na daleką metę jest możliwa z punktu widzenia interesów państwa polskiego polityka współżycia i ugody z Ukraińcami? Oczywiście nie taka bezdennie głupia, koszlawa, idiotyczna, bezchciowa i haniebna jak dzisiejsza, ale mądra, bo można robić mądrą politykę ugodową, która ma tak wielu zwolenników w Polsce w kołach narodowych. Twierdzimy z całą stanowczością, że nie. Celem narodowego ruchu ukraińskiego w Polsce jest zdobycie za wszelką cenę własnego państwa. To jest cel naczelny, do którego powinny prowadzić wszystkie drogi. Politykę narodową ze strony narodu polskiego, nawet mądrą, wyzyskują sprytnie Ukraińcy do tego celu. Szowinizm ukraiński osiągnął taki poziom, że nie ma tam miejsca na żadną nagrodę i kompromis. Mogą być jedynie czasowe pozory kompromisu. Powstanie na ziemiach przynależnych do państwa pol. państwa ukraińskiego, to utrata tych ziem przez Polskę, to utrata zatem prawie ⅓ naszych dzisiejszych posiadłości.

Polska ziem południowo-wschodnich nie może utracić, bo nie wolno jej tych ziem utracić zarówno ze względów gospodarczych jak politycznych. Szerzej dowodzić tego chyba nie potrzeba. Skoro zatem polityka ugodowa z Ukraińcami wiodła by pośrednio do oderwania ziem południowo-wschodnich od Polski, jakaż inna polityka może nas przed tym zabezpieczyć? Jedna jest tylko droga do tego celu. Droga bezwzględnej i zdecydowanej walki z szowinizmem ukraińskim, a co zatem idzie, droga polonizacji ziem południowo-wschodnich. Jest to droga bardzo trudna, ale jedyna. Jak kroczyć po tej drodze, to już w następnym numerze.

Naszym zdaniem

CHŁOPSKI BUNT.

Ostatni „strejk" chłopski w Małopolsce oznacza, że najwyższy już czas na głębokie rozstrzygnięcia polityczne i gospodarcze. Wątpimy, czy sobie to uświadomią czynniki rządzące, — w pełni natomiast zdać sobie sprawę z tych zjawisk winni ci wszyscy, co walczą o Polskę opartą o masy narodowe. Zdać sprawę i wyciągnąć wnioski.

W chwili, gdy trzeba szybko urządzać Państwo, budować przyszłość, w chwili wielkich procesów i prądów dziejowych marnuje się energia największego zbiornika sił narodowych, jakim jest wieś. Równocześnie kopie się przepaść między Państwem a wsią. Woła się bowiem o „żelazną rękę", a nie chce się widzieć przyczyn rewolucjonizowania się wsi; pisze się, że to komunistyczna robota, a nie zauważa się, że bakcyl komunizmu rodzi się i pleni tylko wtedy, gdy społeczeństwo żyje w anormalnych warunkach politycznych i gospodarczych.

To opaczne pojmowanie „żelaznej ręki" świadczy, jak bardzo zbiurokratyzował się obóz rządzący, skoro nie dostrzega tak oczywistych nastrojów wsi; skoro doradza rządowi stosowanie tak mechanicznych środków, jak policyjne ich likwidowanie.

Tymczasem trzeba zmiany systemu. Już dość mamy półśrodków i policyjnych środków i tego oblepiania rzeczywistości polskiej plasterkami. To nie goi, to rozjątrza.

Przed nowym ruchem narodowym, który w swej ideologii łączy organicznie ideę narodową z ideą sprawiedliwości społecznej, stoi wielkie zadanie: wprzęgnąć energię mas ludowych w walkę o Wielką Polskę.

Czas, by młode grupy narodowe, chodzące dotąd luzem, zrozumiały, że trzeba wyjść poza opłotki grupowe i stworzyć jeden front walki.

STĘCHŁA ATMOSFERA

W miarę jak pękają szwy na sanacyjnym systemie wylewa się coraz więcej brudnej cieczy na powierzchnię życia publicznego. Coraz więcej skandali, afer i procesów na wielką skalę i z wielkimi figurami reżimu. — Mamy wrażenie, że to, niestety, dopiero początek. Trudno, by było inaczej, skoro przez tyle lat (i wciąż jeszcze) forsowało się giętkie grzbiety, „swoich" tak z podwórka politycznego jak i rodzinek, nie pytając o kwalifikacje moralne i fachowe. Ludzi zdolnych i z odwagą szykanuje się, odsuwa od możności wpływania na bieg rzeczy w Państwie.

Nie dziwota, że wśród t. zw. śmietany społeczeństwa, jaką jest czy ma być inteligencja, spotykamy z jednej strony zastrachanych poczciwców, bojących się własnego cienia, z drugiej magików i macherów, co to zawodowo robią optymizm, aprobują wszystko dla... żłobu i kariery. Ludzie z kręgosłupem moralnym i godnością popadają w pesymizm albo też uprawiają bezpłodne moralizatorstwo w zamkniętych kołach.

A jak ta atmosfera wpływa na masy? W masach utrwala się przekonanie, że każda grubsza ryba naszego życia politycznego, gospodarczego czy państwowego to złodziej i łajdak. Czy tak sprzęga się masy z Państwem, o czym się tyle deklamuje na różnych akademiach i uroczystościach?

Taką atmosferą długo oddychać nie można. Wpuszczanie dawkami świeżego powietrza nie wiele pomoże. Trzeba drzwi i okna otworzyć naoścież.

Mówiąc bez przenośni, przyjść muszą nowi ludzie i nowa treść w życie narodowe.

AMALIA-IRENA HANZLÓWNA

SEN...

W krainie marzeń mój sen się kołysze —
wśród kwiatów lamp kolorowych tysiąca —
— — Samotny pustelnik przepływa przez ciszę
w aureoli zórz złotych i w kaskadzie słońca.

W labirynt wspomnień wkracza — w raj pieszczot
w ogród zachodu się wtula jak płatki maków —
—Zawiesza się w gwiazdach, gdy srebrem szeleszczą
I w świtu purpurze pędzi jak stado rumaków.

Stój! Nie płynąć? — jeszcze rosa uśpiona —
Wrócić! — nić snów jak łańcuch królewski zdradliwa
— Patrz! zbladły ci ręce i szata skrwawiona —
Nie widzisz? — koń twój niespokojnie potrząsa grzywą!

Uśmiech padł na ślady stóp — w złotą ciszę boru —
Dławi go w gardle nieuniknione — rozstanie...
Oczy mu płoną. — — Ja wrócę do was! wrócę
w pieśń wieczoru.

— — — — — — — — —

* * *

Spór o protokóły Rady Narodowej

W prasie cieszyńskiej, między tygodnikiem „Na Straży" a sędziwą „Gwiazdką Cieszyńską, wynikł osobliwy spór.

Zaczęło się od tego, iż radykalne pismo „Na Straży" w swym tegorocznym nrze 21-szym zwróciło się pod adresem „Dziedzictwa błog. Jana Sarkandra" z żądaniem, by zwróciło Towarzystwu Ludoznawczemu w Cieszynie księgę protokółów „Rady Narodowej dla Księstwa Cieszyńskiego", która była — jak wiadomo — pierwszym polskim rządem na Ziemi Cieszyńskiej, utworzonym w r. 1918. Ciekawy ten spór gazeciarski ma głębokie i dość zawiłe podłoże, bo ważny tylko: tu przecież chodziło — śmiało można użyć tego wyrażenia — o protokóły rządowe! Warto zatem poświęcić tej sprawie trochę miejsca i wskazać tą drogą na przykre i śmieszne zarazem konsekwencje, na jakie naraża się jedna z poważnionych i wybitnie podenerwowanych stron. Rzecz przedstawia się następująco:

Na posiedzeniu Komitetu Likwidacyjnego Rady Narodowej w dniu 2. VI. 1924 r. w obecności Ks. Londzina, Bobka, Regera, Adameckiego, Wojnara i ks. Brzuski *„uchwalono* — co też zostało zapisane jako punkt 9 — *oddać w depozyt „Muzeum Śląskiemu" Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego w Cieszynie akta Rady Narodowej.* Na rejestrację powyższych aktów przeznaczono kwotę 1000 (tysiąc) zł., które wypłacone zostały w bonach ks. posłowi Londzinowi jako prezesowi Towarzystwa. Zarazem uchwalono oddać na własność temuż towarzystwu na cele muzealne kasę żelazną, dwie szafy z drzewa twardego, biurko z drzewa miękkiego, sześć krzeseł, dwa obrazy i stolik pod maszynę". Na specjalne podkreślenie zasługuje stylizacja owej uchwały: *archiwalia oddaje się tylko w depozyt*, sprzęty zaś oddaje się na własność. Inaczej być nie mogło, trudno bowiem było oddać Towarzystwu Ludoznawczemu archiwum rządowe na własność.

A co stało z księgą protokołów? Na wspomnianym już posiedzeniu Komitetu Likwidacyjnego w dniu 2. VI. 1924 r. była ona jeszcze w użyciu: spisywano w niej ostatni protokół. Po posiedzeniu, a tym samym po ukończeniu prac Komitetu Likwidacyjnego wręczył sekretarz księgę protokółów ks. Londzinowi, który ją też zabrał z sobą, realizując w ten sposób cytowaną powyżej uchwałę, zanotowaną jako punkt 9-ty w ostatnim protokóle. Zrealizować zaś tę uchwałę mógł tylko on, był bowiem prezesem Towarzystwa Ludoznawczego w Cieszynie, któremu to towarzystwu zlecono pieczę nad całym archiwum.

A teraz z konieczności słów parę o ś. p. ks. Londzinie, jako o prezesie T-wa Ludoznawczego i kustoszu jego zbiorów. Śmiało i bez przesady można powiedzieć, iż wszystko to, co zrobiono w T-wie Ludoznawczym do roku 1929, to właściwie praca samego ks. Londzina. On jeden był duszą tego Towarzystwa i zasłużonym twórcą bogatych jego zbiorów. Tak się już jakoś złożyło, że nie było innych pracowników, i ks. Londzin — jak na wielu innych polach życia narodowego, tak i tutaj — ciągnął wszystko sam jeden, sam jeden także stał na straży ulubionych zbiorów... Mieściły się te zbiory w suterenach seminarium nauczycielskiego w Bobrku, a częściowo mieściły się w prywatnym mieszkaniu ks. Londzina. Fakt ten nie zdziwi nas wcale: przecie głównym i jedynym kolektorem tych zbiorów był właśnie ks. Londzin. Na Jego ręce, tam na ul. Schodowej 3 znosili ludzie liczne dary do „Muzeum Śląskiego". Od czasu do czasu ukazywały się w „Gwiazdce Cieszyńskiej" pokwitowania tych darów wraz z szczegółowymi danymi o tem kto i co darował. A jak się tego uzbierało więcej, zabierał ks. Londzin te „skarby" i przenosił na Bobrek do składnicy muzealnej. Nie zanosił jednak wszystkiego: czasem zatrzymał daną rzecz u siebie, głównie księgi i archiwalia, a to w tym celu, by rzecz lepiej poznać, opisać i przestudiować. Nikt z tego nie będzie dziś ks. Londzinowi robił zarzutu, wiemy przecie, że był to jeden z najpoważniejszych ludzi na Śląsku. Rzeczy te były Mu w pracy naukowej potrzebne, to też jako pomoc naukową trzymał je u siebie. Jest przecie drugi powód, dlaczego niektórych rzeczy nie odnosił na Bobrek: oto obawiał się, że na Bobrku mogłyby się zniszczyć lub mogłyby zniknąć, a On — jako prezes i kustosz — nie chciałby na to narażać zbyt cennych rzeczy. Księgę protokółów Rady Narodowej zatrzymał również u siebie, bo lepiej i bezpieczniej — tak napewno słusznie sądził — będzie jej pod okiem kustosza, aniżeli tam, w suterenach bobreckiego seminarium. Pamiętał dobrze o tem, że na akta Rady Narodowej były wielkie apetyty i że niektóre z akt padły jeszcze za Piątkowskiego ofiarą tych apetytów.

Krótka choroba i nagły zgon ś. p. ks. Londzina w roku 1929 wprowadziły — powiedzmy to szczerze — dużo zamętu w sprawy Towarzystwa Ludoznawczego. Nie winimy o to — broń Boże — ks. Londzina. Przypominamy sobie przecie, że spadło to wszystko tak nagle i niespodziewanie, że chwili po prostu małej nie starczyło na to, by tamte umiłowane sprawy załatwić. Winę owego zamętu ponoszą — z żalem to stwierdzamy — główni spadkobiercy ś. p. ks. Londzina, mianowicie „Dziedzictwo". Dekret o dziedziczeniu (Sąd Grodzki w Cieszynie, Oddział I, A 225/8/29 z dnia 14 maja 1929) wyraźnie mówił o wyłączeniu z masy spadkowej majątku Muzeum Śląskiego, spadkobiercy jednak główni zabrali wszystkie książki, nie bacząc na to, co do kogo należy. Ciekawą pod tym względem lekturę są wykazy darów do „Muzeum Śląskiego", zamieszczane przez ks. Londzina w „Gwiazdce Cieszyńskiej" na przestrzeni długich lat. Jeśli o dary książkowe chodzi, to ks. Londzin kwitował je jako dary do „Muzeum Śląskiego", długiego jednak szeregu tych książek wcale dziś nie znaleźliśmy w zbiorach T-wa Ludoznawczego czyli w „Muzeum Śląskim", jak je ks. Londzin nazywał. Książki te były w mieszkaniu prywatnym, zostały uznane za własność prywatną i jako takie przeszły na spadkobierców. O wyłączeniu majątku Muzeum Śląskiego w mieszkaniu prywatnym nikt nie pomyślał i oto mamy aferę: w tej części zbiorów T-wa Ludoznawczego, które były w mieszkaniu prywatnym ks. Londzina, znajdowała się także księga protokółów Rady Narodowej. Tym samym przechodzi ona rzekomo na własność spadkobiercy, którym jest „Dziedzictwo błog. Jana Sarkandra" w Cieszynie.

Wszystko to, cośmy o książce tej powyżej powiedzieli przedstawia „Gwiazdka Cieszyńska" z dnia 23 VII. b. r. (nr. 57) następująco:

„O zdeponowaniu księgi protokółów Rady Nadzorczej nie mówi protokół Komitetu Likwidacyjnego, a to z tej przyczyny, iż na tym samym posiedzeniu w chwili pisania ostatniego protokółu ofiarowano obecnemu i prowadzącemu obrady ks. Londzinowi księgę protokółów z posiedzeń Prezydium Rady Narodowej na własność prywatną, który ją także wcielił do swej biblioteki i bez reklamacyj czy pretensyj z czyjejkolwiek strony miał u siebie w mieszkaniu między swymi książkami, jako własność prywatną aż do swej śmierci, zatem 4 lata i 9 miesięcy i jako własność prywatną w testamencie z d. 14. IV. 1929 zapisał razem z innymi książkami w Internacie i w jego mieszkaniu się znajdującymi bibliotece Dziedzictwa". — Omawiając zaś odnośny ustęp o zdeponowaniu archiwum Rady Narodowej w zbiorach T-wa Ludoznawczego, stwierdza „Gwiazdka Cieszyńska", iż o zdeponowaniu księgi protokołów w tym archiwum mowy być nie mogło, bo księga protokółów, to wcale nie akta. W archiwum — według „Gwiazdki Cieszyńskiej" — wcale na księgi miejsca niema. Mowa być może *tylko o aktach*, a te zostały przez likwidatorów w porządku zdeponowane.

W takim jak powyższe sformułowaniu sprawy tkwi gruby błąd, co więcej: sformułowanie to jest istotą sporu. Gdyby księgę protokółów przekazano rzeczywiście na własność ks. Londzinowi, to darowiznę tę trzebaby koniecznie gdzieś zaprotokółować, podobnie jak darowiznę tamtych starych gratów z twardego i miękkiego drzewa. Chyba likwidatorowie zdawali sobie sprawę z tego, że *księga protokółów Prezydium Rady Nadzorczej*, to nie jakieś tam krzesło, czy obrazeczek. Trudno likwidatorów posądzać o to, by o krzesłach pamiętali, a o najważniejszej rzeczy zapomnieli. Trudno ich o to posądzać, oni bowiem o księdze protokółów pamiętali: po ostatnim posiedzeniu likwidacyjnym wręczono ją temu, kto przejął w depozyt archiwum Rady Narodowej: wręczono ją prezesowi Towarzystwa Ludoznawczego w Cieszynie, którym był zasłużony na tych polach pracy narodowej ks. Józef Londzin. Logika i zdrowy rozsądek mówi wszystkim nieuprzedzonym i nieupartym, iż ks. Londzin nie mógł jej dostać na własność... Wziął ją do siebie, miał ją w swem mieszkaniu — lecz nie zapominajmy, iż książka ta była u niego w depozycie, jako u prezesa Towarzystwa, które archiwum Rady Narodowej wzięło w depozyt. Dowodzeniu obecnych „właścicieli", jakoby księga protokółów nie była aktem i tym samym nie wchodziła w akta archiwum jest śmieszne i rozbraja wprost swą naiwnością. Nie wiemy kto z ramienia „Dziedzictwa" broni praw własnościowych do owej księgi, stwierdzić jednak z całą powagą musimy, iż lepiej byłoby, gdyby głosu w tej sprawie wogóle nie był zabierał. Twierdząc, że *protokół to nie akt*, że księgę z protokółami rządu można darować na prywatną własność jednostce — zbłaźnił się tylko. W ostatnim na szczęście zdaniu jakby na usprawiedliwienie swych wywodów, zopowiedział autor tej niefortunnej notatki, iż nie będzie już w tej sprawie zabierał głosu: to pierwsze jego i ostatnie wypowiedzenie się w tych tak prostych i jasnych dla niego dziejach księgi.

Stwierdzenie, iż księga protokółów Rady Narodowej jest *aktem i* to aktem — jak słusznie podkreśla „Na Straży" — *najprzedniejszym i najwyższym, jest wcale łatwe.* Wystarczy wziąć do ręki „Historykę" Marcelego Handelsmana, czyli podręcznik, który powinien się znajdować na półce każdego historyka, a stamtąd ze str. 46 dowiedzieć się można wszystkiego: dowiedzieć się można o tym, co jest istotą aktu i archiwum, oraz namacalnie o tym także, że *protokół to akt, a protokóły to akta!* Gdyby zaś Handelsman nie był pewny lub podejrzany o stronniczość, to warto również zaglądnąć do oficjalnego wyd. o archiwach i archiwaliach, mianowicie do podręcznika dra Kazimierza Konarskiego p. t. „Nowożytna archiwistyka polska i jej zadania" (Warszawa 1929, Wydawnictwo Archiwów Państwowych, tom X), gdzie w kilku miejscach jasno i oczywiście z logicznym uzasadnieniem, znajdziemy to samo, co u Handelsmana. Czytamy u Konarskiego m. in.: *iż protokóły, to zszyta i oprawna księga, obejmująca grupę akt jednego typu różnej treści* (str. 147). A przecież protokóły Rady Narodowej, to również *zszyta i oprawna księga, obejmująca grupę* nadzwyczaj ważnych *akt jednego typu* (obrady) *różnej treści* (ileż to spraw nie omawiało się na posiedzeniach Rady Narodowej). Na str. 74, przy omawianiu rzeczy w archiwum najważniejszych, będących kręgosłupem lub rdzeniem danego archiwum, czytamy u Konarskiego następujące zdanie: *„W archiwum ciała kolegialnego (Rady Administracyjnej lub Rady Stanu), będą rdzeniem tym protokóły posiedzeń, czyli uchwały tych władz".* Rada Narodowa to również ciało kolegialne, takie same jak Rada Administracyjna lub Rada Stanu i rdzeniem w jej archiwum *będą* protokóły posiedzeń. — Jak z powyższych danych wynika, dowodzenie „Gwiazdki Cieszyńskiej" jest kruche, śmieszne i doprawdy ubolewać trzeba, iż tak poważne i dobrze redagowane pismo podjęło się tak śmiesznej polemiki.

Na koniec coś, jakby lekcja poglądowa: kto chce zabierać głos w sprawie archiwum, musi się najpierw z niem zapoznać, musi przekonać się przynajmniej zewnętrznie jak ono wygląda. Radzimy niefortunnym obrońcom zachłanności w dziedziczeniu przyjrzeć się tym archiwom i archiwaliom, do których mają dostęp. W Cieszynie można zobaczyć część archiwum b. Generalnego Wikariatu, umieszczonego właśnie w bibliotece „Dziedzictwa". Zewnętrznie biorąc, jest to księga obok księgi. Nawiasem warto się zapytać, skąd archiwum to właśnie się tam wzięło: wiadomo przecie, iż archiwum Generalnego Wikariatu z Cieszyna przejęła Kuria Biskupia w Katowicach. Czyżby „Dziedzictwo" dziedziczyło i po Generalnym Wikaracie? Jak właściwie archiwum wygląda, zobaczyć także można w Muzeum Miejskim w Cieszynie. Czy to będą dawne księgi miejskie, tworzące Archiwum Miejskie, czy to będzie Archiwum Korony Cieszyńskiej z całym długim szeregiem urbariuszy — to obojętne: zobaczymy przede wszystkim księgi, księgi... Jedno tylko archiwum ma być pozbawione swej najważniejszej księgi. To archiwum pierwszego polskiego rządu na Śląsku Cieszyńskim.

TADEUSZ BORONOWSKI.

Regionalne eminencje

Jest rzeczą oczywistą, że w życiu kulturalnym na Śląsku a zwłaszcza w życiu literackim wytworzyły się stosunki nie bardzo sprzyjające ożywieniu go, podniesieniu na wyższy poziom, przepojeniu atmosferą niezależności, szczerości i duchem zgodnej współpracy.

Ludzie na odcinku tym dotychczas przodujący, czy to z tytułu zajmowanych stanowisk czy też z tytułu talentów, jakimi dysponują i pracy, jakiej dokonali, zbyt są zżyci z zakorzenionymi u nas nastrojami wzajemnej adoracji. Zbyt miłe i beztroskie wytworzono im stosunki, zbyt hojnie darzono ich zawsze na naszym terenie pochwałami i ułatwieniami, by mogli się przyzwyczaić do szczerej i niezależnej krytyki. Stałe wyolbrzymianie pewnych sukcesów, słowa pochlebnej zachęty pewnym ludziom zdecydowanie zaszkodziły. Nie przyczyniły się do ich rozwoju a dały im podstawę do wygórowanego o sobie mniemania.

Jest to zjawisko zdecydowanie ujemne, lecz nie mniej do pewnego stopnia wytłumaczalne. Śląsk wszedł w granice Rzeczypospolitej, jako ziemia szczególną otoczona troską, na którą ze szczególnym sentymentem patrzyły i patrzą oczy całego narodu. Pod wielu względami zajął wśród ziem polskich stanowisko przodujące. Zrozumiałym jest zatem dążenie do stałego intensywnego rozwoju wszystkich dziedzin życia na tym terenie i usiłowanie uczynienia Śląska środowiskiem pod każdym względem wysoko postawionym i żywotnym. Dlatego każdy pisarz, który z tej ziemi się wywodził i każdy, który dał jej miejsce w swej twórczości, każdy działacz na polu kultury spotykał się zawsze z życzliwym przyjęciem i ze słowami uznania. Środki finansowe, jakimi dysponowano, pozwoliły na powołanie do życia instytucji tak poważnych i ze wszech miar pożytecznych, jak Instytut Śląski, Muzeum Śląskie, dały możność stworzenia Towarzystwa Literackiego, które jako organizacja powołana przede wszystkim do finansowego popierania pisarzy i poczynań kulturalnych o szerszym znaczeniu, nie ma odpowiednika w żadnym innym ośrodku regionalnym.

Jeśli więc niektórzy ludzie tych wysiłków i tych intencji nie potrafili odpowiednio ocenić, to tylko im wina może być przypisana. Wysiłki, zmierzające do podniesienia kulturalnego Śląska, do uczynienia zeń środowiska o wysokiej kulturze, wnoszącego swój poważny udział do skarbca kultury ogólno - polskiej, potraktowali oni po prostu jako koniunkturę, której grzechem byłoby nie wyzyskać. To wszystko, co miało być zachętą do dalszej coraz bardziej wytężonej pracy i dalszego rozwoju, przyjęli z czasem jako rzecz z góry im należną i nie podlegającą kwestii. Każda nagroda, każda subwencja, każda przychylna i pochlebna krytyka stała się dla nich czymś, co im się zawsze i słusznie należy, bo oni przecież piszą o Śląsku a reszta się już sama przez się rozumie. Nie musieli o nic walczyć, nie musieli kariery literackiej zdobywać pracą, absorbującą wszystkie siły i dającą w wyniku doskonalenie się i rozwój. Po pierwszych, mających być zachętą i podnietą sukcesach, przekonali się, że można i bez większego trudu przynajmniej w obrębie Śląska cieszyć wielką sławą, wielkim uznaniem, dobrą prasą, no i niezłymi dochodami. Stąd też u pewnych pisarzy spotkaliśmy się z nadmiernie rozwiniętą ambicją, z nieuzasadnionymi wymaganiami i najłatwiejszym sposobem dyskontowania wyrobionej bez trudu pozycji w sposób, jak największy zapewniający dochód i jak najbardziej ułatwiający życie.

Jeśli pojawił się poza Śląskiem jakiś sąd surowszy i nie dyktowany lokalnymi nastrojami, przemilczano go starannie. Jeśli sąd taki pojawił się na Śląsku, bywał okrzyczany jako niesprawiedliwy, stronniczy, wypływający z osobistych pobudek. Pewne sfery społeczeństwa były skłonne do piętnowania go jako zuchwalstwo i objaw szkodliwy, nie odpowiadał on bowiem weszłym w zwyczaj hołdom, hołdowniczym pielgrzymkom i t. p. Zainteresowani pisarze sądy takie uważali i uważają za po prostu bezczelność, za atak, powodowany jakąś bliżej niesprecyzowaną zazdrością.

Ale nie tylko o takie sądy zaczęło rościć sobie pretensje. Dochodzi do tego, że niektórzy pisarze nie wyobrażają sobie literatury na Śląsku bez siebie, że dają niedwuznacznie do poznania, iż stanowią oni jej alfę i omegę. Stąd oburzenie wywołuje każdy artykuł, w którym, pisząc o literaturze na Śląsku, krytyk nie poświęcił im przynajmniej 95% miejsca. Kamieniem śmiertelnej obrazy jest każde słowo krytyki, choćby towarzyszyła mu litania koplementów. Uważają się po prostu za nietykalne tabu, za wielkości, których już nic naruszyć nie może i bardzo chętnie niemiły sobie sąd określają przy pomocy soczystego porównania o psu na Pana Boga szczekającym. Bardzo wygodne załatwienie sprawy. Gdyby przytoczyć pewne wypowiedzi tych ludzi i pewne ich argumenty, czytelnicy nie uwierzyli by w ich autentyczność. Tą megalomanią odznaczającą się u nas już nie tylko pisarze o „wyrobionej" marce i mający za sobą bądź co bądź po kilka książek. Owładnęła ona już całkowicie i poetów od kilku wierszy, którzy niczym poważniejszym jeszcze się nie zaznaczyli. Czasami objawy tej megalomanii są wręcz nieprawdopodobne.

Krytyk, który zdobył się na ocenę utworu danego pisarza sprawiedliwą a nie we wszystkim pochlebną, staje się u nas jego zdecydowanym wrogiem. Zostaje odsądzony od czci i wiary, od rozumu i poczucia przyzwoitości, odbiera mu się prawo zabierania głosu w sprawach literackich, daje niedwuznacznie do poznania, że jest idiotą, człowiekiem szkodliwym, którego najlepiej byłoby w jakiś radykalny sposób zlikwidować. O tym, by pisarz wyciągnął z takiej oceny jakieś logiczne wnioski i konsekwencje, mowy oczywiście nie ma w ogóle, kto może coś **JEMU** powiedzieć, kto może odważyć się **JEMU** zwrócić uwagę, kto może się o **NIM** w ten sposób wyrażać.

Z taką humorystyczną reakcją spotkał się już niejden z młodszych krytyków a zwłaszcza nie jeden ze współpracowników „Kuźnicy".

Na podobnym podłożu kształtują się również i wzajemne stosunki niektórych literatów śląskich. Być może, że w tym wypadku gra pewną rolę i czynnik konkurencji. Niektóre nasze „wielkości" nie uznają swych kolegów po piórze. Szeroko opowiadają, że ich ten a ten zupełnie nie interesuje, że wcale nie czytają jego książek i t. d. Pojawia się też wzajemna zawiść, która czasem przybiera bardzo niewybredne i zupełnie przejrzyste formy. Nie stwarza to, rzecz prosta, żadnych możliwości współpracy między nimi i zgodnego działania, każdy chodzi sobie w samopas i gryzie się powodzeniem drugich. A chętnie też posądza tych drugich, że korzystają z jego utworów i bogacą swą twórczość jego zdobyczami. Nie rzadkie też są objawy niechęci pisarzy na Śląsku urodzonym w stosunku do literatów zamieszkujących na Śląsku i piszących na śląskie tematy.

Nie mam bynajmniej zamiaru wywlekać tych wszystkich mocno nieprzyjemnych i powiedzmy otwarcie brzydkich spraw po to, by narobić ruchu, dać pole różnorodnym domysłom, komentarzom poderwać opinię niektórych ludzi. Uważam tylko, że czas to wszystko raz porządnie wygarnąć, żeby otworzyć oczy ludziom dobrej woli, żeby zwrócić uwagę na coraz bardziej niezdrową atmosferę naszego życia kulturalnego i spowodować, jeśli ten skromny głos może się do tego przyczynić, zmianę polityki wobec tych literatów, którzy zaczynają coraz więcej wymagać, coraz więcej się puszyć, a coraz mniej solidnie pracować. Piszę to też dla tych, którzy dopiero zaczynają wchodzić w życie literackie, którzy debiutują mniej lub więcej szczęśliwie. Oni zwłaszcza o tych sprawach winni mieć sąd jasny i skrystalizowany. Ten sąd musi ich uchronić od manowców, którymi z dumą kroczą nasze eminencje literackie bez względu na swój dorobek, zasługi i wartość. Tych eminencji nie jest wiele, bo w ogóle nie ma wielu prawdziwych literatów na Śląsku, którzy by poważniej pracę swą traktowali. Ale ci, którzy dostarczyli materiału do tych ponurych uwag, mają pretensje do nadawania tonu naszemu życiu literackiemu i uważają, że bez nich nic się stać nie może, że oni są bezapelacyjnie pierwsi i poza nimi nikt nie ma wiele do gadania.

Młodzi pisarze, którzy zaczynają brać czynny udział w naszym życiu literackiem, mogą liczyć zawsze na życzliwość, poparcie, sąd sprawiedliwy i niedyktowany ubocznymi względami. Ale muszą pamiętać, że wymagania nasze już wzrosły, że nie ma już miejsca na łatwe i tanie a dobrze płatne sukcesy. Zresztą takie sukcesy żadnego prawdziwego, wielkiego i ceniącego swą pracę artysty a umiejącego ją też sądzić nigdy nie zadowolą.

Jeśli chodzi o zmianę polityki wobec literatów, to domagać się musimy przede wszystkim utrzymania dotychczasowej pomocy finansowej, ale nie w dotychczasowych formach. Nie wolno przyzwyczajać do brania pieniędzy za darmo, do pobierania zaliczek na konto dalszego rozwoju.

Takie metody popierania literatury demoralizują 95% tych, którzy z nich korzystają. Nieliczni tylko poczuwają się do pewnych z tego tytułu obowiązków. Mówią o tym sprawozdania z wykorzystania udzielonych subwencji. Znajdziemy w nich często blagę, która dopiero z biegiem czasu staje się jasną i oczywistą. Jedyną formą pomocy będącemu w trudnym położeniu pisarzowi może być ułatwienie mu wydania książki. Nie takie ułatwienie, które polega na pokryciu pewnych kosztów z drukiem związanych, ale zapewnienie mu przy tym godziwego i nie żebraczego honorarium, które pozwoliłoby mu odpędzić troskę materialną na pewien czas od siebie i pomyśleć o nowej pracy i nowych zdobyczach. Że książka w ten sposób subwencjonowana musi reprezentować odpowiednie wartości, to rzecz nie ulegająca wątpliwości. Nie może tu być mowy o samych arcydziełach, bo np. skończenie doskonałym dziełem nie będzie prawie nigdy książka pisarza początkującego. Na szczęście są kryteria, które umożliwiają tu powzięcie sprawiedliwej decyzji.

Skończymy wówczas z pisarzami koniunkturalnymi, którzy zaczną gdzie indziej szukać zarobków, jak tego mamy już je-

(Dokończenie na str. 5-tej)

TARAS SZEWCZENKO.

Z ukraińskiego spolszczył Wilhelm Szewczyk.

Kaukaz

(Serdecznemu mojemu Jakubowi de Balmain).

„Kaukaz" jest najbardziej rewolucyjnym poematem Szewczenki. Poświęcony jest pamięci de Balmaina, oficera zabitego w r. 1845 na Kaukazie w potyczce z Czerkiesami, który, będąc gorącym patriotą ukraińskim, musiał swą krew przelać za kata (Mikołaja I) swej ojczyzny. — „Kaukaz" jest namiętnym oskarżeniem imperializmu rosyjskiego i gorącą apologią wolności ludów, przez co utwór zasługuje na szczególne poznanie. Ostrze zwrócone przeciw Rosji, jakie w poemacie tym zarysowuje się aż nadto wyraźnie, uaktualnia „Kaukaz" w najwyższym stopniu. Olbrzymia stepowa rozpiętość uczuć, twarda, miarowa forma, mocna, niesłychana treść, czynią poemat całkowicie dojrzałym artystycznie. Trzeba w końcu zaznaczyć, że rękopis tego poematu posłał Szewczenko Mickiewiczowi do Paryża. Niestety nie wiadomo czy Mickiewicz rękopis otrzymał i co się z nim dalej stało. Do badań nad stosunkiem polskich poetów z ub. w. do Rosji „Kaukaz" może wnieść dużo światła.

Za górami góry, chmur spowite mgłą,
ugorami wzeszłe, obryzgane krwią.
Tam od wieków Prometeja
bólem poi orzeł,
co dzień w żebra, co dzień w serce
pazurem się worze;
skruszy serce lecz krwi do dna
nigdy nie wypije, —
serce znów miłością spłonie,
znów mocno zabije.
Dusza nasza nie umiera,
nie umiera wola;
nie wyorze wrogi sknera
na dnie morza pola
i pęt duszy nie nałoży,
słów żywych nie zetrze,
nie pohańbi sławy bożej,
Boga chwały wiecznej.
Nie nam do sporu z Tobą stawać!
Nie nam osądzać dzieła Twe!
Nam tylko płakać, płakać, płakać,
z chlebem połykać pot i łzy.
Kat się z nas śmiało naigrawa,
bo prawda nasza spita śpi.
Kiedyż się ocuci — mocna?
Kiedyż spocząć możesz
a nam żyć pozwolisz wreszcie
umęczony Boże?
My wierzymy w Twoją siłę,
w moc ducha żywego, —
Wstanie prawda, wolność wstanie
i Ciebie jednego
będą sławić wsze języki
na wieki, na wieki...
Ale teraz — jeszcze ciągle
krew rozburza rzeki!...

Za górami góry, chmur spowite mgłą,
ugorami wzeszłe, obryzgane krwią.

Tam miłościwi, tam to my
wolność zgłodniałą, wolność nagą,
opławaną — tam schwytaliśmy.
Mordami okwitł cały zagon,
w ciał się upiorne spowił haszcze.
A łez? a krwi? Poićbyś mógł
imperatorów wszystkich paszcze —
z dziećmi, wnukami, z hordą sług,
wszystkich byś we łzach wdów umęczył
i w tych w noc lanych łzach dziewczęcych!
A tych matczynych, ciepłych łez,
a tych ojcowskich, starych, krwawych,
nie rzeki — morze, hen, po kres,
ogniste morze!...
Sława! Sława!
Niech żyją zgraje gończych psiarń!
Niech żyje nasz batiuszka — car!
Sława!...
I wam chwała sine góry,
wam, szczyty niezłomne;
i wam, o rycerze dzielni,
cześć wam u potomnych!
Walcząc — przecież wywalczycie:
Bóg walkę uprościł
Z wami prawda, z wami męstwo
i świętość wolności!
„C z u r e k i s a k l a — skarby twe,
nie wyproszone, nie żebrane;
nikt ich nie pragnie ani chce,
u nóg nie szczerkną ci kajdany.
A u nas?... Znamy pisma trud,
czytamy święte, boże księgi!...
I od wysokich turm po gród,
wyrosły dumnie ponad łęgi,
złoci i ...goli żyjem ciągiem.

Źródła antysemityzmu

„Nie wiem, czy antysemita znajdzie kiedy upragniony spokój dla siebie i czy Żyd nawet najdalszy nie będzie mu płoszył snu z powiek" — pisze Hulka-Laskowski w jednym z tegorocznych czerwcowych „Wiadomości Literackich" i dowodzi, że antysemityzm jest przejawem histerii i skłonności sadystycznych, dla których antysemita szuka ujścia w tłuczeniu nieszczęsnych żydów. Jego zdaniem antysemita napawa się cierpieniem żydów, jest nienasyconym krwiopijcą, żądnym widoku cudzej udręki. Żydzi natomiast — to bohaterzy (z pewnymi usterkami, spotykanymi też u innych narodów), którzy „wiedzą... że ich najwięksi prześladowcy minęli oni istnieją, wyczekując niezłomnie nowych prześladowań i wierząc, że na ostatku czeka ich urzeczywistnienie ich snu o królestwie Bożem na ziemi". Hulka-Laskowski i jemu podobni usiłują wmówić w nas, że antysemityzm jest czymś nienormalnym i niemoralnym, niegodnym chrześcijan i sprzecznym z ich etyką. Jest to wręcz przewrotne ujęcie sprawy żydowskiej, bowiem nie chodzi tu o budzenie jakiegoś szału nienawiści do żydów, czy o rozkoszowanie się ich cierpieniem, lecz o to, żeby uwolnić się od nich raz na zawsze.

Przyczyn naszego antysemityzmu należy szukać nie w naszym charakterze, ale w żydowskim. W stosunku do nas Żydzi wykazywali obłudę, wzamian za wielowiekową gościnę i opiekę łączyli się z naszymi wrogami i gdzie mogli, szkodzili. Polsce niepodległej wyrządzili tyle krzywd w każdej niemal dziedzinie, że wiele będzie trzeba czasu, by je naprawić. Dość wspomnieć tu o intrygach żydowskich w czasie wojny światowej i na konferencji pokojowej, o narzuceniu nam traktatów o mniejszościach, o popieraniu czerwonej armii w r. 1920 i t. d.

Tak jak u nas postępowali wszędzie po wszystkie czasy: „Idzie przez wieki i tysiąclecia naród żydowski, naród wieczny tułacz najbardziej nienawidzący i pogardzający wszystkimi narodami świata, bezwzględny i okrutny dla wszystkich i sam również najbardziej znienawidzony i pogardzany przez wszystkie narody świata" i jednocześnie „to naród kaleka, naród śmiertelnie chory duchowo, który nawet mimo woli musi zarażać otoczenie swoją chorobą".[1]) I tu, a nie gdzieindziej trzeba szukać źródeł antysemityzmu. Żaden sadyzm, żadna krwiożerczość, ale narodowe cechy żydów, ich religia i ich światopogląd są wiecznie żywym źródłem antysemityzmu. Nie przeczymy, że antysemityzm nieraz już przybierał jaskrawe formy i przybierać je będzie, ale winni temu sami żydzi, przejęci zawsze tą samą ideą panowania nad światem. Szerokie rzesze żydów, przerażone bojkotem powinny mieć pretensje do swoich prowodyrów, którzy jako potentanci finansowi trzęsą światem i mając zapewniony dzięki temu wpływ na stosunki polityczne, nie starają się znaleźć już dziś miejsca exodu dla swoich braci. Przywódcy żydów ciągle się jeszcze łudzą, że uda się antysemityzm ułagodzić i dlatego zwlekają z załatwieniem sprawy żydowskiej. Nie rozumieją, czy nie chcą zrozumieć, że zwlekaniem szkodzą swemu narodowi, któremu dziś wszystkie kraje wypowiadają odwieczną gościnę. I nie pomoże tu oskarżenie zwolenników rozbratu z żydami o sadyzm i brak miłości chrześcijańskiej. Miłość jest także matką nienawiści — nienawiści do zła. Być chrześcijaninem nie znaczy — być niedołęgą, pozwalającym szerzyć się złu. A naród żydowski, żyjący w rozproszeniu szczepi wszędzie zło i sieje zniszczenie: „Każda myśl, każdy ruch naukowy czy społeczny, o ile jest opanowany przez żydów, staje się zgubnym, niszczycielskim". [3])

Oto z jakich źródeł wypływa antysemityzm.

Ewa.

[1]) Marchołt r. 1936, nr. 1, s. 136, 138.
[2]) ibid. s. 137.

Własność funkcjonalna

Prawo własności często znajdowało się pod obstrzałem argumentów jego przeciwników, często burzone było dowodami wielu myślicieli. Ataki te z drugiej strony wywoływały zaciekłą obronę prawa własności przez jego zwolenników i znowu sypały się argumenta, które miały wykazać niezbicie, że własność jest podstawą wszelakiego rozwoju gospodarczego. Rozpatrywanie tych walk jako podstawy do snucia pewnych wniosków może być wskazane. Jest to jednak platforma tak szeroka, że dokładne rozważenie wszelkich pro i contra w tej przez wieki całe trwającej walce, może swą siłą przytłoczyć te myśli, które stanowić mają istotę rozważań. Dlatego nie będziemy się zagłębiali w szczegóły tych bohaterskich starć myśli ludzkiej. Traktować to będziemy tylko jako środek do podkreślenia myśli istotnych, dotyczących zagadnienia własności.

Zagadnienie własności znalazło się w sferze działań wojennych myśli ludzkiej — zdaje się nam — dlatego tylko, że nosi ono specyficzny charakter. Jest ono bowiem zagadnieniem gospodarczym i zarazem społecznym. Istotnym powodem ataków na prawo własności było specyficzne stanowisko przeciwników własności. Wychodzili oni z założenia, że własność to zagadnienie czysto społeczne, to zagadnienie nierówności i niesprawiedliwości społecznej. Z takiego punktu wychodząc formułowali swe argumenta i tezy coraz ostrzej, które u Proudhona znalazły swój najśmielszy wyraz w okrzyku „własność to kradzież". Z drugiej strony zwolennicy prawa własności argumenta swe kuli na tym, że zagadnienie własności jest zagadnieniem czysto gospodarczym i własność jako czynnik gospodarczy stała się podstawą tego niebywałego rozwoju gospodarczego. Bez prawa własności nie do pomyślenia był by taki rozwój gospodarczy. Zdaje się nam, że to jednostronne stanowisko wywołało tą wiekową walkę, że ten jednokierunkowy punkt widzenia nie pozwolił objąć całości zagadnienia.

Na podstawie tego nasuwa się wniosek, aby zagadnienie własności rozpatrywać pod tymi dwoma kątami widzenia, gospodarczym i społecznym. To bowiem zapewni bezstronne rozpatrzenie tych zjawisk. Nasuwa się jednak pytanie, czy takie dwulicowe stanowisko jest możliwe? Jako stanowisko myślowe — jest możliwe. Jednak utrzymanie się na takim stanowisku jest niezmiernie trudne. Taka postawa nosi bowiem w sobie zarodek niebezpieczeństwa przechylenia się na jedną czy też na drugą stronę. Istnieje tu trudność znalezienia tego punktu, który by był środkiem dwóch płaszczyzn, płaszczyzny gospodarczej i społecznej. A jeszcze większa trudność polega na utrzymaniu się na tym złotym środku w dociekaniach myślowych. Dlatego też stwierdzamy, że chociaż koncepcja taka jest do pomyślenia, trudna jednak jest do utrzymania.

Tym samym, zdało by się, niknie wszelki punkt widzenia do przeprowadzenia rozważań nad zagadnieniem, własności. Taki napozór można by wyciągnąć wniosek. Tego niebezpieczeństwa jednak nie widzimy. Odrzucając z jednej strony płaszczyznę czysto gospodarczą i czysto społeczną a z drugiej strony płaszczyznę społeczno-gospodarczą jako postawę badawczą, nie stwierdzamy bynajmniej niemożliwości przeprowadzenia rozważań. Chodzi tylko o znalezienie innej płaszczyzny i to takiej, która by w sobie ujęła momenty gospodarcze i społeczne prawa własności. Chodzi o nową zupełnie postawę myślową. Taka płaszczyzna istnieje a jest nią interes narodowy. Pod tym kątem widzenia należy rozpatrzyć całe zagadnienie własności a na pewno ustrzeżymy się od tych niebezpieczeństw i błędów, które są wynikiem niefortunnego wybrania punktu wyjściowego rozważań.

Wychodząc z takich założeń stwierdzamy, że interes narodowy wymaga istnienia własności funkcjonalnej. Cóż to pojęcie oznacza? Własność funkcjonalna to taka własność, gdzie nie kładzie się nacisku na uprawnienia, z których właściciel może korzystać, ale na czoło wysuwa się obowiązki, które prawo własności nakłada na właściciela. Prawo własności więc to przede wszystkim obowiązki właściciela do takiego użytkowania własności, które by nie stało w sprzeczności z interesem narodowym. Własność funkcjonalna jest więc własnością prywatną ale „obciążoną hipoteką społeczną" — jak to określa Adam Doboszyński w „Gospodarce narodowej". Koncepcja własności funkcjonalnej nie usuwa tych korzyści, które wypływają z własności prywatnej. Nie narusza tego motoru, który potęguje wysiłki, co w rezultacie pcha życie na drogi rozwoju. Własność funkcjonalna nie przeciwstawia się tym cechom psychicznym, które tkwią gdzieś głęboko w duszy człowieka a które krótko określa się pojęciem żądzy posiadania. Z drugiej strony własność funkcjonalna stawia silne tamy tym wybujałościom, wynikającym z pojęcia prawa własności bezwzględnej. Rzecz nie należy do człowieka tak bezwzględnie, że może z nią zrobić co mu się podoba. W ustroju własności funkcjonalnej nie do pomyślenia są takie aspołeczne zjawiska jak dardanariaty t. zn. niszczenie dóbr dla osiągnięcia wyższej ceny. Ustrój nowy nie dopuści do tego, aby w morzu topiono pszenicę wtedy, gdy masy ludzkości cierpią głód. Do takich bezmyślnych, nieludzkich działalności właścicieli nie dojdzie, bo będą oni obarczeni obowiązkami służenia nie tylko interesowi własnemu al i interesowi narodowemu.

W ten sposób w pojęciu własności funkcjonalnej dało się ująć te wszystkie momenty, których w drodze jednokierunkowego rozpatrywania zjawisk absolutnie ująć się nie dało. Ujęte zaś zostały te momenty dlatego, że stworzona została nowa płaszczyzna badawcza, płaszczyzna interesu narodowego.

J. Idkowiak.

U nas się uczcie! Cały step
powie wam po czym sól i chleb!...
My chrześcijanie: szkoły, chramy,
nawet Bóg mieszka w naszych wsiach!
Nam tylko sakla — w oczy samum:
czemuż wam ściany jej, próg, dach
nie dane przez nas? Czemuż k'wam
ów czurek nie przypłynie wkońcu?
I czyście nie powinni nam
płacić za złote, wielkie słońce?
Taż tylko to! My nie poganie,
myśmy prawdziwi chrześcijanie —
nie wiele trza nam!... Gdyby rad
każdy z was chciał nam bywać bratem,
dużoby mógł skorzystać na tem!
Ogromem tu pęcznieje świat — — —
Czujesz jak wzrok w Sybirze zginął?...
A turm? A ludu? Brak mi słów...
Gdzieś od Mołdawian aż po Finów
zamilkły dźwięki wszystkich mów,
bo... błogo ludom!.. A wśród nas
biblijnych słucha słów gromada,
które mnich święty tak wykłada:
że car, co ongiś świnie pasł
i żonkę druha wziął do siebie
druha ubiwszy — teraz w niebie!
Ot, uważajcie, jacy nas
czekają w niebie! Wy nie wiecie,
jakie dogmaty rządzą w świecie.
Tu je poznacie!... Tutaj drżyj,
drżyj oraz daj
i dobryś — w raj!
choć i z wsią całą w raju żyj!
I czegóż to my nie umiemy!...
Grykę siać, zorze policzymy,
Francuzów łajem — to sprzedamy
to znów przy kartach przegrywamy
białych murzynów cały rój
bo czyż nas wzrusza ludzki znój?...
My nie Hiszpanie! Boże zbaw,
byśmy kradzione kupić mieli
jak żydy. Myśmy podług praw!..."

Podług prawa apostoła
wy brata kochacie?
Chłystki, dranie, obłudnicy,
panom się równacie!
Miłość wasza pieści skórę
brata a nie duszę!
Więc łupicie „w myśl zakonu":
córce na kożuszek,
bękartowi na wyprawę,
żonce na głupoty,
sobie też, lecz żonie z dziećmi
wstyd wam mówić o tem!

Za kogoś się ukrzyżował
Chryste, Synu Boży?
Za nas dobrych, czy za prawość?
Albo za to może,
byśmy krzyż Twój wyszydzali?—
Tymiśmy się stali!

Chramy, kaplice i ikony,
świeczników rzędy, mirry dym
a przed obrazem świętym Twym
bez przerwy chylą się pokłony —
O łupy, krew, o wojny bat,
o czarę krwi braterskiej — proszą,
potem pokrowiec Ci przynoszą,
skradziony z tlących izbic chat!!...

Oświeceniśmy tu wszyscy,
chcemy więc oświecić
słońcem prawdy wszystkie biedne,
niewidzące dzieci!!
Nauczymy! Tylko w ręce
się oddajcie nasze:
nauczymy wznosić turmy,
kajdanami straszyć,
nosić łańcuch, grzbiet podstawiać
pod knuty, pałasze...
Nauczymy! Tylko zwólcie
zdobyć górskie ściany.
To wystarczy... bo już mamy
i morza i łany!

— — — — — — —

I Ciebie pognali mój druhu jedyny,
mój złoty Jakubie! Nie dla Ukrainy
swą krew przelewałeś lecz dla wroga jej,
Z moskiewskiej szklanicy, ze szklanicy złej
moskiewską trucizną życie struli kaci!
O, niezapomniany druhu, mój ty bracie!
Wyleć duchem ponad ukraiński łan,
leć z kozackim hufcem, leć ponad brzegami;
ujrzysz, że wiatr kurhan gdzieś wywraca tam —
zapłacz! A wyglądaj co dzień z kozakami,
gdy wyzwolon pójdę głuchym stepem sam!
A tymczasem — moje dumy
moje bóle drogie
tu zasieję. Niech zarosną
stepy i rozłogi.
Z wiatrem cichym z Ukrainy
do ciebie popłyną,
pocałunkiem mym dokoła
ust się twych owiną.
Z drżeniem weźmiesz w dłonie dumy
cicho je czytając,
nad grobami, nad stepami,
nademną dumając...

Perejasław, 18. XI. 1845 r.

JAN BARANOWICZ.

Ojcowa kosiarka

Rychły beztroski świt czerwcowy szczodrą poświatą chlusnął na przycupnięte wśród wiązów sadyby wioski. Luźno oprawne szyby okien wydostojnił i unieprzeciętnił. Strzępiastymi firankami zawisł w półcieniach przyzb i zagaci. Na spotniałych bladych twarzach śpiących kłosami promieni się rozsypał. Po przez przepuszczające jasność sukienki powiek jął drażnić a łaskotać nikiej ten figlarz niespokojny. Przeciągnął się też ten i ów leniwie, blaski z rzęs jak natrętne muchy spędzając. Aż ocucony zupełnie zrywał się na równe nogi z pościeli. — —

Stary Burlak porwał się z płachty leżyska trzaśnięty w oczy rzaźną siklawą. Zdziwieniem utknął na otęczonych szybach.

— Bodej — ze to tyla — a wiela — a tom se zaspoł. Matko Odporysosko! — Dyć to jus słonko pore tęgich stajani na niebie odrobieło a jo chrapie jak by mi zmora na zywocie siadła. Zamomieło mie cy jak?

Godzinkowe hymny jął półgłosem mamrotać a pojękiwać, ofiarując pośpiesznie. Siaki — taki przyodziewek na sie narzucił, strugą wody ochlapał co z grubsza zołzowate oczyska. A potem przy nagłównicy łóżka na klęczkach odmówił pacierze co ważniejsze, pośledniejszego kalibru obiecując wymamleć po drodze. Nawet jakoś jedzenie przeoczył, mimo, że przecie stało na ślepiach, pokrzepiając się tym, że krzynę przeciągnie przy robocie to oskoma na jadło wzrośnie. W imię ojca i syna — sięgnął w przechodzie palcami do kropielnicy otwierając drzwi do sieni. Czekała nań już kosa. chciwym ostrzem zaryta w kołek ściany, do żmudy jak serce do kochania stęskniona.

W chwili gdy ramię po nią wyprężył zaskrzypiały drzwi drugiej izby. W gaciach i rozchełstanej na piersiach koszuli przestąpił syn próg sieni: —

— A kej — ze to ojcu tak pilno? —

— A no dziecko wstołem trochę rychli, zeby te stajencyne posiec, co to lezy wele krzypopy.

Niby ten konic ode drogi?

A no ten, com se go łonskiego roku wymówiuł przy zopisie.

— Przecie mi go ociec obiecoł —

— Hm, rzekło się ta, alem ze kejsik inacy ozmyśloł.

— Pewnie ojciec zamierzo jaką gadzinę kupić i somsieki sianem zapełnio. A moze je w Brzeźnicy sprzedo jak zesłorocne zyto?

— W Brzeźnicy, nie w Brzeźnicy ale krowinę tobym se jaką przychowoł, bo to nijako bez ni a cłek przecie mleka naucny.

— A bo to ojcu źle. Jeś nie daje? Mleka skąpie? Kobiecina se od gęby odejmie a do teściowego gorka przycyni. Ale mie się cosi kejsi po głowie plonto ze to nie to. Ze sie ojcu na staroś gospodarzenio zachciewo.

— Znośni by mi ta beło, kiejbym swoją chudobę na miedzy popos abo i na okrajkach. —

— To tes to! Trzesą sie ręce, a jesceby święto ziemie pazurami darły.

— Blızy ta grobu jak gospodarki. —

— Akurat prowda! Jak łońskiego roku zaceło ojca ciągnąć to mi pół zogona zaoroł. Zbiory sprzedoł, jesiony w ogrodzie, co to niby na trunne rosły stelmachowi zastawiuł. Po jarmakach se chodzi z kiełbasy zwojem za pazuchą jak purec a ty sie cłeku w długi jak w spinacki wikłoj koniec z końcem próbuj powiązać a snikod poratowanio. Jesce po chałpach skargi, ze syn taki — owaki, ze rodzonemu ojcu śmierci spokojnie docekać nie do.

— Hankór ci widzę siod na wotrobie i dróge mi jak zbój zachodzis. Ni mos noleznego szaconku lo siwy ojcoski głowy. Przedołem zboze, bom se musioł siako-tako kabocinę kupić, zeby nagością ludziom nie świecić w ślepia. Przed somsiadami sie pozołom, bo i mom na co. Trachtujes mie jak bym ci zycia nie doł. A jak se kupię kukiołkę na jarmaku, to do piekła za to nie pódę. Starym, sieł mi trzeba, łocwi mi będzie jak sie ździebko pozywie.

Ale jo wiem — ciebie nie to korci. Ziemiebyś całą chcioł zagarnąć, zeby sie posuć jak dziedzic a starego, co ci zawodo do zogaci abo i na prośby. —

— Ho ho ho! — Jak sie tez to ojciosek ostrajkotoł jak te probosc z kozalnicy, kiej na koledzie mało uśporo. Ino łaska bosko, ze w tym akurat tyle prowdy, co na owinięcie palica. Zreśtą co my sie tu bedziewa duzo w pyskowanie bawić. Doś mi już tego uzerano sie z wami. Abo wy bedziecie rzodzić abo jo. Połóście kose! —

— Ej ustąp mi ty z drógi a do swojego idź, zeby cie Pon Jezus ciezko nie pokoroł. A i to se weź pod ozwogę zem ci jesce w mocy wszyćko wzioz, bom se u matereusa rzetelnie zastrzeg.

— A bierzcie psiokrew! — Lepse mi to, nis ustawicne wygrozanie. Tylo se nie myście, ze w sądzie to tak łatwo odebrać, coście roz zapisali. Ho ho! — Panowie swój rozum mają i nie łopie dadzą krzywdzić synów ojcom, co im sie w głowie wywróciło. Zreśtą wszyćko mi jedno! — jak zdychać to tyla z głodu co i w kryminole. Wara od kosy! —

— A szatańskie nasienie! To sie ty na siwego rodzidziela porywos, co piejdziesiot łot recyska po łokcie urobioł, zebyś jak doreśnies kawołek pola mioł i własny kąt nad głową. To taka twoja synosko wdziecnoś? —

— Rodziciel nie rodziciel a jak utropieniec to i poteranio wort. Halom do izby!! — —

Zgrzytnęło jazgotliwie błyszczące ostrze kosy, uderzając o cementowe klepisko przyzby. Ściśnięty krzepkimi garściami syna, potoczył się rodzic w szamotaniu na próg dębowy. Zaskrzypiały calówki drzwi wejściowych, wytłoczonych z zawias uderzeniem ojcowskich pleców. Niby poderżnięta piłą sosna, zwalił się stary na kamienny kwadrat przedproża.

W momencie, gdy szalony kułak wyrodka podniósł się w górę aby młotem grzmotnąć w wychudzoną pierś żywieciela, ów jakby w jakimś jasnowidzącym wspomnieniu rękami zapamiętały impet synowski shamował. —

— Synu stój! — Dyć jo mojego ojca po tyla ino wypchnął. —

Uderzony wspomnienia echem, rozdygotany syn ojcobijcy w współpochylonej pozie zawisł ponad leżącym. Chwilę barował się ze sobą jakby jakąś przemożną moc próbował zwyciężyć aż opuścił pięść w kułak zwartą. Robił piersią ciężko, zapatrzony — nie wiedzieć w pokonanego czy w bezkres ponad nim. A potem odwrócił się i zwolna ze zwieszoną wdół głową ruszył do drugiej izby.

Stary Burlak podniósł się z wysiłkiem z klepiska. Otrzepał z kurzawicy portki, zatulił na piersiach koszulę. Połami jej wycierał zamizerowaną twarz. Schylił się, podjął z ziemi kosę i wsparł ją kosiskiem na barku. Wolnym, plątającym się krokiem ruszył przez pola do kosiarki.

Coś się w nim naraz załamało zupełnie i bezpowrotnie. Wykruszyła się jak zabłocona zgrzebniocha skłonność do zwad i targów z synem, tak uporczywie pętająca się po płotach myśli. Taka buntowna nieprzejednana. Bo przecież sama kłótnia, gdyby nie wyogromniała nagłym wspomnieniem, przeminęłaby za kilka godzin jako coś co nie warte zbytniej uwagi, jako epizod brutalny może ale spodziewany. Ba — przygotowywany stopniowo z podświadomym bezwiednym wyrachowaniem, podsycany jak płomień ogniska smolnymi knagami żachnięć się i przycinków. Zanosiło się na bijatykę od dawna, tylko, że właśnie taką przybierze formę i że to miejsce obierze na rozprawę, tego przewidzieć się nie dało. Miejsce, o które stary potykał się jak o słup wystający ponad poziom powierzchni, miejsce stanowiące najboleśniejszą jego tajemnicę nikomu nie mówioną, księdzu jednemu chyba przy kofesjonale szeptaną. Dlatego, gdy w krytycznym momencie szamotania się nasunęła się pamięci, mocniejszą się stała niż nienawiść i zapełniła jego jestectwo jak wizja pokraczna. Fala wyrzutów jęła uderzać w nadwątlałe brzegi sumienia aż przełamała je, przewaliła i szerokim zakosem rozlała się po łęgach duszy.

Walił w siebie twardą pięścią samooskarżenia: —

— Sprawiedliwość to Pana-Jezusowa osądziła mie reką dziecka. Sprawiedliwość widocna te jak haw te pieć paliców. Syn ta odrodek i nicpotem ale cy sie nie wdoł we mnie — urodecka? Ani na krok nie zbocuł z drogi, jak jo sie pchoł sporo łot temu. Ze krwi mi to wyssoł, z chlebem przetrawiuł. I powtórzeło się to, co było kiedyś, takusieńkie, sobie podobne, jak byś zrachował i odmierzuł. Bom to ojca nieboscyka — Panie świec nad jego dusą — inacy traktowoł? Poturadłem se go zrobiułem. Wciągłem szczyżeniem zębów wystrasułem jaze do trunny. Co mi brakowało? Zapisoł gront. Oddoł na zawse wszyćko: — morgi — chałupe — las. Chyba ptasiego mleka. I wciąg mie kłóło, ze se te wymowe zastrzeg, co by jo kot przeskocuł. Po nocach mi spać nie dawało. Chciołem wszyćko zagarnąć, wszyćko mieć w łapcywości nienasycony.

Wywdziecułem sie mu jak pasierb. Chodził po ludziach, głóseckiem na mnie płakoł. Jas chtóregoś ranka — boze odpuś — tak jak mie dziś syn — odmieniec, prasnułem go na próg w hankórze. —

Bolesne wspomnienia stadem drapieżnych komarńw szumiały koło jego spotyranej głowy. Wyrzuty skorpionem wpijały się w skroń. Twardą bezpardonową spowiedź odprawował ze samym sobą.

Jak automat dowlókł się do pachnącego stajania. Pociągnął stal kosy osełką i zwolna, rozkraczony, wparty stopami w darń, kładł na pokosy dojrzały konicz. Robota nie kleiła mu się dziś jednak. Raz poraz przystawał, aby rozprostować zbolałe kości. Oglądał się, zapamiętywał, gwarzył ze sobą. Poczuł się nagle w tej jednej bolesnej godzinie starym i obcym gospodarce. Odeszła kejś od niego zimna obojętna i on odszedł od niej niby ten emeryt co się wysłużył i na odpoczynek idzie dożywotni. Jakaś zapora, stanęła między nim a polem, niewidzialna a mocna, niewidzialnymi dłońmi, odpychająca. Jeszcze jakiś tam podmuch buntu załopotał w nim na moment, niby ta kawka, co jej wyrostek lotki obciął, ale wnet odpłynął jak przywiał prędki bezzwycięski, stygnący. — —

A potem uspokojenie spłynęło nań od świeżości rannej, pełne rezygnacji, pokrzepiające. Zrównoważył się wypogodził, nasłoneczniał.

— Późno dziś będę śniodoł — uśmiechnął się do siebie przez łzy. Stajonko tak jakby jesce kosy nie smakowało. — —

Zebrał się w sobie, poszerzył luki pokosów. Raźniejszy już i jakby w nowym sił przybytku parł przed się pochylony w przód pokotem kładnący źdźbła soczyste. — Odmierzony chrobot wżerającego się w gęstwinę kłączy ostrza, daleko hejże leciał po rosie — —

Kiedyś — kiedyś po długich jak wieczność godzinach położył pokos ostatni. Wówczas obtarł przygarścią zsieczonej trawy żelazo kosy do czysta. Rozprostował przygięty krzyż. Westchnął ciężko jakby się decydował na coś, jak by mu trudno było dopełnić przykrego postanowienia. A potem, przekonany już i konsekwentny zarzucił kosę na ramię i mocnym szerokim krokiem ruszył ku majaczejącej wśród barczystych wiązów sadybie: —

Niósł z sobą zgodę do zagrody. —

(Ciąg dalszy ze str. 3-ciej)

den nie bardzo budujący i szczególnie dla każdego Polaka przykry przykład, dokładnie swego czasu na łamach „Kuźnicy" omówiony. Młodzi wchodzić będą w życie literackie pod znakiem wytężonej, uczciwej pracy i rozwój ich pójdzie drogami, które u nikogo nie będą budzić wątpliwości.

I jeszcze jedno: przestańmy wreszcie bać się krytyki surowej i nie idącej utartymi ścieżkami różnych przyzwyczajeń i bardzo zaściankowych ambicji. Nie odbierajmy głosu ludziom, którz odważyli się czegoś więcej niż dotychczas wymagać. Na takich historiach kultura wychodzi zawsze najgorzej. A rosną różne wielkości na glinianych nogach, z których literatura za zwyczaj niewiele ma pożytku i sławy.

Na tych podstawach i w takich warunkach bez trudności powstanie na naszym terenie odpowiednie zgrupowanie pisarzy, rozwinie się współpraca ludzi biorących czynny udział w życiu literackim, ustaną kwasy i dąsy i może nareszcie wytworzą się jakieś znośne stosunki tak, jak to ma miejsce w innych regionalnych środowiskach literackich.

Nie kupować u Ukraińców

Z kresów wschodnich nadchodzą coraz bardziej niepokojące alarmy. Ofensywa Ukraińców na polski stan posiadania trwa, rozwija się i przybiera na sile. Ukraińcy propagują namiętnie hasła bezwzględnej walki z Polakami a ostatnio zwłaszcza ostry bojkot polskich placówek gospodarczych.

Wszystko to stoi w jakiejś dziwnej a niepokojącej dysproporcji do polityki naszych władz na odcinku ukraińskim. Wszystko załatwia się bardzo grzecznie i w rękawiczkach. Ukraińcy się skarżą, utyskują, chodzą z delegacjami i wysuwają coraz to nowe postulaty. A nawet tak lubiący prawdę w oczy sypać Pan Premier nie potrafi im powiedzieć coś więcej poza tym, że rozpatrzy, zbada i t. d.

Dlatego społeczeństwo musi się tymi groźnymi objawami zainteresować bliżej i to zainteresować praktycznie.

A mamy do tego sposobność. Na terenie Śląska nie od dziś i nie od wczoraj funkcjonują różne placówki ukraińskich kooperatyw. I funkcjonują wcale nieźle, skoro n.p. „Masłosojuz" posiada w Katowicach aż 2 sklepy przy ul. Kościuszki i Mickiewicza.

Na bojkot ukraiński odpowiedzieć musimy zdecydodanym i konsekwentnym bojkotem placówek ukraińskich, rozsianych po różnych miastach Polski. Niech żaden Polak nie odda grosza w wrogie nam ręce, niech placówki ukraińskie staną się dla nas obce, jak obce są placówki i sklepy żydowskie. Powinniśmy doprowadzić do tego, by placówki te zostały jak naszybciej zwinięte.

Akcja ta musi stać się symbolem dla Polaków na kresach, świadczącym, że o nich myślimy, że popieramy ich dążenia, że dążenia te poprzemy zawsze czynem. Symbol ten doda im otuchy i mocy do przetrwania do chwili, gdy Polska Narodowa przystąpi do ostatecznego uporządkowania sprawy ukraińskiej!

PRZEKROJE

„Problemy, wielkie problemy tego kraju, tych ludzi, Polski, świata leżą jak martwota wód pińskich. Bo najpierw trzeba rzeczy tego kraju takie jakie są dziś naprawdę widzieć. Potem... trzeba je zrozumieć“.
(K. Pruszyński· Podróż po Polsce. — Warszawa 1937 — Tow. Wyd. „Rój“ — str. 200)

Siedzimy na swym partykularzu i w olbrzymiej większości patrzymy na to, co się wokoło nas dzieje, przez pryzmat wiadomości zaczerpniętych z dzienników, rzadziej czasopism i książek, słuchamy pogadanek aktualnych nadawanych przez radio — i mamy gotowy sąd o wszystkich ważnych sprawach życia współczesnego. Jeśli czasem wydarzenia zagraniczne wydają nam się mniej zrozumiałe — to w sprawach polskich nie miewamy żadnych wątpliwości, pewni jesteśmy, że rozumiemy je doskonale. Dziwimy się jedynie, częściej jeszcze oburzamy się, że nasze przewidywania się nie ziszczają, a wszelkie niepowodzenia przypisujemy z góry tym czynnikom, które wystąpiły z inicjatywą. Oburzenie nasze jest jednakże o wiele częstsze niż zdziwienie. Jaki jest nasz stosunek do różnych zagadnień życia współczesnego? Kiwamy z uznaniem głową nad kubaturą zapory wodnej w Porąbce, udajemy szybszy oddech przy nazwie Gdynia, rozprawiamy długo z obludnym współczuciem o klęsce bezrobocia lub niegodziwym wyzysku robotników przez kapitalistów. chodzimy w niedzielę na mszę, by spotkać znajomych lub skrócić czas do obiadu — i uważamy, że wszystko jest w porządku, t. zn., że my jesteśmy w porządku. Ale co n. p. odpowiada wychowawca maturzyście, gdy ten się radzi co do wyboru zawodu, gdy zapytuje, gdzieby najlepiej zużytkować młode swe siły dla dobra kraju? Co odpowiada tenże wychowawca czy kierownik towarzystwa młodzieżowego, gdy go zainterpelują o sprawę żydowską w Polsce, o prawdziwe położenie wsi? Co odpowiadamy my wszyscy czytelnicy gazet i słuchacze radia na te pytania. Odpowiadamy formułkami n a s z y c h gazet, znacznie rzadziej na podstawie teoretycznych wiadomości, zaczerpniętych z odpowiedniej literatury. Najczęściej udajemy zdziwienie. że ktoś może stawiać podobne pytania, kiedy przecież wiadomo, że... i t. d. Czemu ogół ujawnia tak przeraźliwe płytkie poglądy w sprawach najważniejszych, w sprawach tyczących się teraźniejszości i przyszłości własnego kraju? Nie tylko wygodnictwo temu winne, nie tylko szkoły, na które się tak chętnie zwala wszelką odpowiedzialność za braki w wychowaniu obywatelskim, i nie tylko trudne warunki materialne.

Główną przyczyną tej strasźliwej ignoracji jest płytkość tej podstawowej „strawy duchowej“ przeciętnego obywatela, jaką jest gazeta. Naczelnym zaś krzewicielem tej płycizny i ignoracji jest wszedobylski i wszechwiedzący reporter. Interesują go przeważnie tylko sprawy zewnętrzne, jego dziełem, to opis, który o wiele lepiej zastąpi dobra fotografia a czasem zwyczajna widokówka (patrz reportaże o Śląsku, Poznańskim, Gdyni it. p.) Reporter zapala się nieco w opisie, gdy wietrzy, że będzie mógł dostarczyć żądnej sensacji publiczności, odpowiedniego pokarmu do rannej kawy — albo gdy reportaż swój będzie mógł zużytkować dla celów politycznych pisma, któremu służy. Stąd dwa główne rodzaje reportaży: „barwne“ opisy zewnętrzne wydarzeń lub ulotka agitacyjna w formie reportażu. Gorszą chyba formą jest ta pierwsza, która usypia sumienie obywatelskie, wyjaławia myśl, tworzy polityków kawiarnianych w najgorszym gatunku.

Kto mówi o palących, prawdziwych problemach Polski współczesnej? Kto stara się podejść do nich uczciwie, bez podmalowania doktrynerskiego lub demagogicznego? Ilu reporterów wie, poco jedzie „na miejsce“, ilu z nich ma plan i orientuje się w tym co ważne i jakie są różne aspekty tej ważnej sprawy?

Czytałem szereg różnych „reportaży“ o zaporze wodnej w Porąbce: mówiono w nich o ilości zatrudnionych robotników, ich płacach, kubaturze, ktoś sumienniejszy zwrócił uwagę na znaczenie zapory w sprawie elektryfikacji kraju i usunięcia niebezpieczeństwa powodzi. Te samusieńkie reportaże było można trochę później czytać o zaporze wodnej w Rożnowie, tyle, że zmieniły się nieco podane liczby, a fotografie przedstawiały innych inżynierów i dygnitarzy dokonujących inspekcji, jakichś tam poświęceń i t. p. Dopiero w reportażu Pruszyńskiego było można poznać wzniosłość tych zapór nie jako obiektów z materii — ale jako zagadnienia społeczne.

Przypomnę inne reportaże n. p. o ślubowaniu młodzieży akademickiej w Częstochowie. Tych reportaży była powódź: jedni podkreślali wyłącznie znaczenie polityczne tej manifestacji, radując się — inni także znaczenie polityczne — ale smucąc się. Tym czasem to ślubowanie dla katolika bez okularów partyjnych było dużym znakiem zapytania, bo odsłoniła statyczność katolicyzmu polskiej inteligencji, bo było połączeniem spraw, które się bez kompromisów połączyć nie dadzą. I znów w reportażu Pruszyńskiego o ślubowaniu w Częstochowie (podobny drugi czytałem w „Kulturze“) było ujęcie tej sprawy jako podstawowego zagadnienia drogi zwrotnej katolicyzmu polskiej inteligencji. Cały tragizm zagadnienia uświadamia się nam poprzez ową rozmową Prymasa z przywódcą młodzieży.

Jak nieodpowiedzialnie płytko potraktowano także proces o zajścia w Przytyku. Zasadnicze zagadnienia tego procesu przesłoniły namiętności polityczne. Usiłowano wmówić w czytelników różnych gazet z jednej strony, że to zbrodnicza agitacja S. N., z drugiej, że polskie chłopstwo zrozumiało nareszcie niebezpieczeństwo sprawy żydowskiej. Ani jedno — ani drugie nie było prawdą całą. Problem zagadnienia, który Pruszyński usiłował odpowiednio naświetlić, tkwi w pytaniu, czy odebranie straganu żydom przez chłopów przyczyni się wydatnie do zmiany oblicza wsi, czy załatwi ono właściwie zagadnienie żydowskie w Polsce. I to także jeszcze nie cała podszewka sprawy. Tej podszewki zagadnień doszukuje się z rzetelnym nastawieniem publicysty Pruszyński w sprawie zwycięstwa idei nacjonalistycznej wśród pewnych warstw robotników łódzkich (dwie klasy proletariatu: pracujący i bezrobotni, różnice wzajemnych interesów), w zagadnieniu manifestacyj chłopskich w Nowosielcach i Rzeszowie (wola władzy ludu wiejskiego, stosunek inteligencji do ludu). Tak samo próbuje Pruszyński wyjaśnić czytelnikowi różnicę pomiędzy chłopem wielkopolskim i małopolskim nie jedynie na tle historii politycznej, jak to czyniło przed nim wielu reporterów, zaciemniając takim postawieniem kwestii sprawy jeszcze bardziej. Doskonale zrozumiał Pruszyński, że kulturę, gospodarność chłopa wielkopolskiego nie można przypisać jedynie wpływom niemieckim a właściwie postawiony problem oświatowy był jednym z głównych czynników zachodniości wielkopolskiej oświaty, która z nadmiaru wsi wytworzyła zdrowe i młode mieszczaństwo.

Zbiór tych uczciwie i rzetelnie ujętych reportaży na temat kilku problemów gospodarczych, politycznych i ideowych Polski współczesnej, jaki nam dał Pruszyński w swej „Podróży po Polsce“ naświetlił przede wszystkim nędzę przeciętnego gazetowego reportażu, wyjaśnił tajemnicę ignoracji i płytkości poglądów istotnych w sprawach polskich przewagi obywateli, każe nam domagać się nawrócenia z złej drogi, podniesienia poziomu publicystyki polskiej, uczynienia z niej narzędzia prawdziwego wychowana obywatelskiego, nie tolerowania hien prasowych. Pośpiech usprawiedliwia niejedno — ale nie wszystko. Prulszyński pokazał, że można napisać reportaż ciekawy, taki, który z czytelnika uczyni współtwórcę, nauczy go myśleć, samodzielnie wyrobić sobie pogląd na daną sprawę przy odpowiedniej, uczciwie pojętej sugestii. Nie podejmię na tym miejscu polemiki z poglądami Pruszynskiego: jestem na to za mało przygotowany w tych sprawach. Mogę jedynie wyznać. że w przeważającej części jego poglądy trafiają mi do przekonania. Sądzę, że powołani w tych sprawach — powinni zabrać głos. Uczciwie ujęta opinia, wypowiedziana z maximum dobrej woli dotarcia do źródła rzeczy, zasługuje na dyskusję, zwłaszcza, jeśli jej przeciwstawić można pogląd odrębny.

Alfred Jesionowski.

SATYRA. Sł. Pazur.

NADPRODUKCJA.

Ludzie i rzeczy jedną mierzym kwartą:
rodzą się częściej — tym mniejsza ich wartość. —

LOGIKA.

Sądów i osądów tren
dziwne w sobie kryje złoczyńswtwo: —
koniec końcem zawsze świnią ten,
kto wzbrania się popełnić świństwo —

Zakład Ubezpieczeń Społecz. dopomaga do zażydzenia Śląska

Jak wiadomo wybudował Zakład Ubezpieczeń Społecznych w Chorzowie dla ulżenia biedy mieszkaniowej za pieniądze składkowe ściągnięte z ludności górnośląskiej domy mieszkalne. Był to czyn ze wszech miar chwalebny. Dwa takie piękne bloki mieszkalne stanęły w Katowicach przy ul. Kopernika nr. 12 i 14. Niestety stała się rzecz niebywała. Mieszkania wydzierżawiono licznym rodzinom żydowskim. Z 15 mieszkań znajdujących się w domu Zakładu Ubezpieczeń pod nr. 14 oddano koło 10 żydom lub przechrztom.

Na czele oddziału mieszkaniowego stoi pan radca Zamarski. Wiemy, że boleje on nad tym stanem i że tłómaczyć go będzie faktem, iż brak reflektantów chrześcijan, którzyby zapłacić mogli drogie komorne. Nie uważamy jednakże, by ten argument był wystarczającym. Należy zdaniem naszym czynsz tak obniżyć, by był on dostępnym dla ludności śląskiej. Obecnym lokatorom żydowskim należy zaś niezwłocznie wręczyć wypowiedzenie. Instytucje Społeczne mają bowiem służyć społeczeństwu polskiemu a nie działać na jego szkodę!

Robert Bradacki, Katowice.

Konkurs „Powstańca“ na nowelę

Zgłoszono nowel 53. Pierwszej nagrody nie przyznano w ogóle. Za to postanowiono przyznać dwie nagrody drugie i dwie trzecie. Drugą nagrodę otrzymały nowele: „Śmierć“ (godło „Olimp“) — Jan Marek, Cieszyn i nowela „Pierwiosnki“ (godło „Górnik“) — Józef Kąpała, Chorzów II. Trzecią nagrodę przyznano nowelom: „Górnoślązaczka“ (godło „Wielko“) — Jerzy Hutka. Kraków i „Pod górą św. Anny“ (godło „Victoria“) — A. Gorywoda. Trzy wyróżnienia pieniężne (po 40.-zł. każde) przyznano następującym autorom: Groborz Jerzy. Istebna, godło „Góral“.— „Dwie przygody Kubowej“; Ludwik Łakomy. Sosnowiec, godło „Legion“ — „Jeden z wielu“; A. Groborz, Piotrowice, godło „Walt“ — „Nierówna walka“. Pozatem wyróżniono kilkanaście innych nowel z prawem druku i z wynagrodzeniem od wiersza. Pierwszeństwo w tej kategorii wyróżnień zdobyły nowele oznaczone następującemi godłami: Rozbarczanin, G. E. M., Elbo, Lech, I. Ł. R. R., Pieron i Meteor.

„HUTNIK“

Świeżo opublikowany zeszyt 8 „Hutnika“ zawiera następujące artykuły oryginalne:

w dziale technicznym:

T. Firla: — Żelazo gąbczaste.

W dziale gospodarczym:

R. Piotrowski: — Kartelowe spółki z ograniczoną odpowiedzialnością w świetle przepisów kodeksu handlowego oraz ustaw o państwowym podatku dochodowym i przemysłowym.

Całości zeszytu dopełniają: listy do redakcji, przegląd wydawnictw, sprawozdanie z działalności hut żelaznych w czerwcu r. 1937, statystyka hutnicza, kronika oraz nowe wydawnictwa.

Rozpowszechniajcie Kuźnicę

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: KATOWICE, UL. DĄBROWSKIEGO NR. 4. — TELEFON NR. 353-96 — KONTO P. K. O. NR. 304.581.

Abonament: rocznie 5,—zł, półrocznie 3,— zł. kwartalnie 1,50 zł. — Numer pojedynczy 0,30 zł.

Ceny ogłoszeń: 1/1 strona 500,— zł, ½ strony 250,—zł, ¼ strony 120,— zł, 1/8 strony 60,— zł, 1/16 strony 15,— zł. — Drobne ogłoszenia 25 gr. za słowo.

Przyjmuje się tylko ogłoszenia firm polskich i chrześcijańskich

Wydawca: Komitet Red. „Kuźnicy“. Red. odpow.: Wł. Drożdżyński. — Druk: „Drukarnia Narodowa“ Chorzów I, ul. Krzywa 14, telefon 406-62.